

HISTORIA ROZWOJU ANI

Ania była dzieckiem z pierwszej, prawidłowej ciąży. Do czwartego miesiąca była krzykliwa, pobudliwa. Długo reagowała krzykiem przy rozbieraniu, wycieraniu czy innych czynnościach pielęgnacyjnych. Uspakajała się tylko na moment włożenia do wody. Nie chciała także pić z piersi, odciągałam więc pokarm i karmiłam nim z butelki. W ósmym miesiącu siedziała, w 13 - chodziła. Między 8 a 18 miesiącem wypowiadała sylaby: *ma-ma*, *ba-ba*, *da-da*. Jeszcze w okresie niemowlęcym lubiła słuchać muzyki patrząc na kręcącą się płytę. Można ją było w ten sposób uspokoić. Była bardzo ruchliwa, rozrzucała zabawki, skakała po wersalce, oglądając swoje wyczyny w lustrze, wchodziła na meble, parapety. Wykazywała przy tym dużą zręczność – nie było żadnych wypadków.

Do 1,5 roku przynosiła różne zabawki, znała ich nazwy, przychodziła sama do nas z różnymi drobiazgami. Kiedy braliśmy ją na ręce, interesowała się wszystkim dookoła, wierciła się, by dość szybko ześlizgiwać się na podłogę. Poruszała się na kolanach. Była przez cały czas w ruchu; przez krótką chwilę interesowała się jakimś nowym przedmiotem lub zabawą, np. swoimi paluszkami. Bardzo krótko wytrzymywała kołysanie, w rytm śpiewanych przeze mnie piosenek. Wpatrywała się wtedy w moje wargi i były to jedyne momenty skupienia, jakie pamiętam. Była jednak wesoła, lubiła się przekomarzać, lubiła łaskotki i zabawy w ruchu na tapczanie.

Gorzej było z jedzeniem. Była niejadkiem, najchętniej zjadała skórki od chleba lub suche bułki, nie lubiła mleka.

Od początku Ania chodziła na palcach, potem polubiła huśtawki, bujanego konika, później przy huśtaniu nie wykazywała strachu. Potrafiła huśtać się na stojąco, popijając ze szklanki sok trzymany w jednej ręce (do 2 lat). Było wiele przykładów nie liczenia się z niebezpieczeństwem i dobrej równowagi. Na spacerach była kłopotliwa, wybiegała na przód, chwytając się płotów lub szła po krawężniku, chwytając mnie za rękę. Już wtedy lubiła chodzić tą samą drogą lub w pewien stały sposób. Za to w wózku była bardzo spokojna, potrafiła wytrwać w nim na zakupach w mieście do 3 godzin. Na nocniczku siadała od 1-go roku. Kiedy chciała posłuchać płyty, ciągnęła za rękę i pokazywała, o co jej chodzi. Nie zadowalała się pierwszą płytą, trzeba było próbować tak długo, dopóki nie trafiło się na tą, którą chciała. Inaczej protestowała krzykiem. Później miała odłożone okładki i przynosiła odpowiednią.

Szybko nauczyła się ubierania. Niektóre rzeczy wkładała sama. Cieszyła się z nowych rzeczy, np. wystawiała nóżkę w nowym buciku, aby się pochwalić. Często przybieraną pozycję, zaobserwowaną u dorosłego: ustawiała się obok, tak samo, co chwilę sprawdzając, czy jest dobrze.

W domu, gdy przychodził ktoś dobrze znany, biegła do drzwi. W parku, kiedy zwracano na nią uwagę (była bardzo ładnym dzieckiem), odbiegała ze śmiechem,

z filuterną miną. Potrafiła podejść do siedzącej na ławce starszej pani, wdrapać się na kolana i zająć się jej koralami. Dziwiło mnie jednak, że nie miała ulubionej zabawki, nie miała też tzw. przytulanki.

Dość trudno było ją uspić po ukończeniu 1- go roku życia. Kładłam się z nią i musiałam pilnować jej rąk, bo ciągle sama się budziła manipulując rękami przy twarzy. Kiedy miała nieruchome ręce, zasypiała szybko. Spała zawsze długo i dobrze, nie budziła się w nocy. W dzień spała do 3,5 godziny. Nie umiała skoncentrować wzroku na telewizorze, nawet na krótki czas. Nie oglądała bajek, nawet najprostszych. Najdłużej bawiła się drobnymi przedmiotami, które wkładała do małych pojemniczków lub wysypywała. Zainteresowanie innymi zabawkami kończyło się dość szybko, po rozrzuceniu ich po pokoju. Wiele przedmiotów wkładała do buzi. Ze zwierzętami obchodziła się bardzo nieostrożnie. Małe kaczuski łąpała za szyję i wypuszczała z ręki. Lubiła je jednak oglądać. Obserwowała także inne zwierzęta u dziadków, jednak teraz przypominam sobie, że zawsze według pewnego stałego schematu, w tej samej kolejności, niczego nie pomijając. W pierwszym okresie życia Ania raczej nie płakała, tylko krzyczała.



W wieku około 1,5 roku życia jej zachowanie zaczęło być bardziej niepokojące. Nie lubiła wykonywać poleceń, była rozbiegana lub znudzona. Największa zmiana polegała na tym, że coraz rzadziej nas zauważała, była nieobecna, nawet po podwórku biegała w ustalony sposób, kończyło się to zwykle na drzewie lub jakimś podwyższeniu. Przestała być wesoła, żywa, figlarna, zaczęła żyć obok. Słuchała, gdy mówiłam, ale nie chciała reagować. Spojrzała i wracała do przerwanej czynności. Zabawy typu: „Koci, koci”, „Chowanego” czy zwykłe gesty „pa, pa”, które przedtem zachęcona, choć przez chwilę wykonywała, były teraz niewykonalne. Nie chciała się także odzywać, rozwój mowy jakby się zatrzymał. Mimo takich zmian, zawsze potrafiła się ze mną porozumieć, kiedy jej na tym zależało, kiedy czegoś potrzebowała. Jej stan jakby pogarszał się, gdy miało się urodzić drugie dziecko. Miała wtedy dwa lata. Kiedy wróciłam ze szpitala w trzeciej dobie po porodzie, Ania nie zwracała na mnie uwagi. Gdy ją zaczepiałam, odpychała mnie i odchodziła. Nie odzywała się odtąd w ogóle, była smutna i nieobecna, krzykiem wymuszała pewne rzeczy, odmawiała kontaktu. Lubiła tylko z mężem zabawy na tapczanie: „przepychanki”, ześlizgiwanie się na podłogę, huśtania na kolanie, skoki, ruch. Lubiła nadal słuchać swoich płyt, umiała także wprawiać w ruch obrotowy różne kółka i pokrywki. Zachęcałam ją do pomocy przy niemowlęciu, była nim trochę zainteresowana, ale raczej jak lalką. Dopiero teraz mogłam się zorientować jak niespokojnym niemowlęciem była Ania. Małgosia nie sprawiała żadnych problemów, była spokojna, wesoła, długo spała, przez cały okres niemowlęctwa zużyła może 5 gryzaczek, a Ania w tym samym czasie chyba 50. Zawsze mieliśmy przy sobie zapasowe, bo mogła na spacerze pogryźć smoczek a potem nie dała się uspokoić.



Od połowy roku 1986 przenieśliśmy się na stałe z Katowic do Brzezinki, koło Oświęcimia. Mieliśmy tu dom z ogródkiem. Ja byłam na urlopie wychowawczym

i Ania stała się trochę spokojniejsza, ale wszystko wkładała do ust garściami (nawet piasek). Zdarzyło się nawet, że pogryzła bombki na choinkę, na szczęście nie połknęła okruszków. Jej zachowanie było jakby bez celu. Wchodziła na wysokie meble, na drabiny, słuchała płyt i „krążyła” po pokoju, gdzie wcześniej rozrzuciła zabawki. W Brzezince było spokojnie, brałam ją do koszyczka i wozłam na rowerze. Opowiadałam Ani o wszystkim, co nas otaczało. Jednak nie interesowało jej to, nie próbowała powtórzyć nawet „mu”, gdy mijaliśmy krowę.

Byłam coraz bardziej przerażona jej zachowaniem. Wydawało się, że powinna zaakceptować obecność w domu młodszego dziecka. Wtedy miałam dla niej dużo czasu. Kiedy zwróciłam się z tym do pediatry, kolejny raz dowiedziałam się, że do trzech lat ma prawo nie mówić i trzeba się nią więcej zajmować, bo to może być zazdrość o młodszą siostrę. Poprosiłam jednak o skierowanie do specjalisty i tak znalazłam się u neurologa. Neurolog postanowił wypróbować bimanol, uprzedzając mnie, że dziecko może trochę gorzej zasypiać.

We wrześniu 1986 r. poszła na 4 godziny do przedszkola. Przez dwa tygodnie rozstania były „płaczące”, mimo że w tym przedszkolu pracowała moja mama i Ania była z nią blisko. Po miesiącu Ania wróciła do mowy swoistej (jak określił później psycholog), ale niczego na polecenie nie powiedziała, nie powtórzyła. Zaczęła trochę naśladować dzieci, chodziła nadal na palcach, ale nie słuchała poleceń, uciekała z budynku, gdy drzwi były otwarte. Unikała kontaktu. Nie potwierdzała i nie zaprzeczała. Lubiła zabawki, układanki dydaktyczne, kubeczki itp. Wykazywała się tu dużym sprytem. Panowała w przedszkolu opinia, że nie chce mówić, ale gdy zechce, nie będzie miała z tym kłopotu. Zwykle bawiła się sama, czasem zachęcona na chwilę włączała się do kółeczka. W styczniu 1987r. zaczęliśmy podawać bimanol 3x dziennie. Był to najgorszy okres w jej zachowaniu. Ze spaniem nie było najgorzej, więc nie kojarzyłam zachowania z lekiem. Była bardzo nerwowa. Nie mogła w ogóle ustać w miejscu. Gryzła zabawki, zaczęła bać się dźwięków, zwłaszcza głośnych. Nie znosiła odkurzacza, wirówki, suszarki, młynka do kawy, nawet ryku zwierząt czy hejnału krakowskiego w radiu. Nie można było jej spokojnie wykapać, umyć głowy – wszystkiemu towarzyszył krzyk. Jedzenie było koszmarem. Gdy się czegoś bała przynosiła nocnik, siadała mi blisko nóg, zatykając sobie uszy rękami i przyciskała się do mnie. Była jeszcze bardziej zamknięta. Nie patrzyła na nas, odwracała nieprzytomnie oczy. Po miesiącu zmniejszyłam tabletki do 2 x dziennie, później na sugestię mojej mamy, że lek może ją bardziej pobudzać, zmniejszyłam do 1 dawki dziennie. W kwietniu 1987 roku trafiłam do psychologa, który nakazał całkowite odstawienie leku, chociaż dziwił się tak silnej reakcji.

Ania bała się nowych sprzętów, na każdy zamknięty karton patrzyła z przerażeniem i wycofywała się z krzykiem lub nie pozwalała nam otwierać, odsuwając nas. Gdy coś potrzebowała, ciągnęła nas za ręce, doskonale pamiętała, co gdzie się znajduje. Bardzo się denerwowała, gdy nie udawało się nam zrozumieć,

co chce. Krzykiem wymuszała na nas pewne zachowania. Nie lubiła zamkniętych domów, budynków, nawet do babci wchodziła z płaczem. W tym okresie dotarły do mnie artykuły na temat nieznaney choroby zwanej autyzmem. Byłam bardzo zaniepokojona - pewne rzeczy pasowały „jak ulał”, a inne opisy autyzmu nie pasowały do Ani - „Nie było aż tak źle”. Mimo to na pierwszej wizycie u psychologa podzieliłam się swoimi podejrzeniami. Pierwsza wizyta nie tylko mnie nie uspokoiła, ale jeszcze bardziej byłam zdezorientowana. Nie uzyskałam zaprzeczenia ani potwierdzenia. Teraz wiem, że za dużo się spodziewałam. Oczekiwałam diagnozy i porady jak leczyć. Dowiedziałam się jednak, że wiele rzeczy jest nie w porządku i że nie mogę czekać, aż samo przejdzie. Ponieważ nie potwierdzono moich obaw, co do autyzmu, postanowiłam spróbować wyeliminować cechy autystyczne w zachowaniu Ani. Poczułam wtedy strach, czy będę miała siłę, żeby zmienić swoje życie tak, jak wymagała tego sytuacja. U psychologa usłyszałam o braku kontaktu wzrokowego, o niechęci do współpracy i wielu sprawach, na które nie zwracałam wcześniej uwagi. Uparłam się, że zmienię stan Ani. Zaczęłam od prób, jakie czyniła psycholog i z przerażeniem stwierdziłam, że córka nie tylko nie słuchała obcej pani, ale nie ma zamiaru mnie posłuchać. I nie udawało mi się niczego na niej wymusić. Kiedy pogodziłam się z tym, że niecierpliwymi nakazami i rozpaczą nic nie zdziałam, zaczęłam uczyć się cierpliwości i czekania. Zaczęłam „spokojnie” analizować, jak ją podejść i nie zniechęcić.



Zaczęłam od przesiadywania przy niej, gdy się bawiła. I mimo, iż dawniej wydawało mi się, że mnie nie zauważyła, teraz nie tylko mnie zauważyła, ale nie życzyła sobie mojego towarzystwa. Wypychała mnie z piaskownicy, odsuwała od stołu z zabawkami lub przenosiła się z nimi w inne miejsce. Udawałam, że trochę ustępuję, ale jednak zdobywałam pozycję koło niej. Po kilku dniach mojego „narzucania się” Ania nie protestowała, gdy przychodziłam. Gdy spróbowałam odejść w trakcie zabawy, złapała mnie za rękę i przyciągnęła na miejsce. Pomyślałam, że kilka dni to nie tak wiele, że nie jest tak źle – może do innych rzeczy też się przyzwyczai. Spróbowałam z zabieraniem zabawek - protestowała i odbierała je natychmiast. Ponawiałam próby biorąc je, jakby mimochodem, oglądając i próbowałam położyć na miejsce, zanim Ania je zabierze. Mówiłam przy tym spokojnie, że na chwilę, że zaraz oddam. Po kilku dniach i na to wyrażała milcząco zgodę. Zawsze starałam się wytworzyć sytuację, że oddaję je dobrowolnie, a nie że ona mi je zabiera. Wtedy przystąpiłam do następnego etapu: próbowałam zabrać zabawkę, którą miała w ręce. Chwyciłam zabawkę i trzymałam, nie wrywałam nigdy. Tłumaczyłam, że chcę się pobawić, że oddam ją lub drugą ręką podawałam inne na wymianę. W pewnym momencie puściła zabawkę. Mimo, że przedtem nigdy nie okazywała niezadowolenia lub zdenerwowania, gdy coś się nie udało, teraz okazywałam przesadną radość. Później uczyłam ją, aby sama wyciągała rękę, gdy

mówiłam „daj”, dawała wszystko co miała w ręce, nie to, o co prosiłam. Mówiłam „daj” i pokazywałam palcem co chcę, nazywając rzecz. Codziennie powtarzałam wszystkie wyuczone czynności i było coraz łatwiej. Dość często w inny sposób wtrącałam się do jej zabaw lub bawiłam się obok. Kiedy udawało mi się wreszcie zainteresować Anię moją zabawą, chciała robić to samodzielnie. Zabierała moje zabawki i odsuwała mnie. Ale nie pozwalałam na to całkowicie; mówiłam „moje” i upierałam się przy pozostaniu przy zabawie z zabawką w ręce. Pilnowałam, by nie zdenerwować jej, bo wtedy krzyczała i zabierała wszystko. I to był koniec kontaktu. Nie dopuszczałam do takiego zakończenia zabawy, gdyż miała wtedy nade mną przewagę, a ja byłam bezradna. Dość szybko nauczyłam się wyczuwać, dokąd mogę się posunąć i zwykle do tej granicy się posuwałam. Zawsze okazywałam radość, że mogę z nią być – dość głośno, żywiołowo i dziecinnie. Wydawało się, że tego nie widzi, ale stała się pogodniejsza. Wypracowałam sobie taki sposób postępowania, że za każdym razem powtarzałam czynności już przez nią zaakceptowane, by przejść do nowych. Gdy tego nie robiłam, po kilku dniach wycofywała się i trzeba było zaczynać od początku. Poprzez ten trening stałam się dla niej jedyną osobą, której zaczęła słuchać. Mówiłam do niej dużo, ale krótkie zdania lub wręcz hasła, akcentując każdy wyraz, przeciągając wymowę, powtarzając kilka razy. Od tego czasu zaczęłam dużo śpiewać, dopasowywałam słowa tak, by mówiły o znanych jej rzeczach lub o niej samej. Często układałam zdania sama; musiały być bardzo proste. Jedno z nich zawierało tylko trzy wyrazy, powtarzane na spokojną melodię; „Ania, mama i Małgosia”.

Ania już od 1-go roku lubiła słuchać piosenek z płyt, z dziwną, nieobecna miną; nie mogłam na to patrzeć. Schowałam płyty i gramofon. Śpiewałam sama. W tym czasie miałyśmy kontakt tylko kilka razy dziennie po kilka minut. Nie mogła się dłużej skoncentrować. Kiedy w czasie wolnym śpiewałam w innym pomieszczeniu, przychodziła i spoglądała na mnie (raczej na moje wargi). Mój śpiew wyraźnie ją uspokajał i jakby trochę zaczęła się koncentrować na mojej twarzy. W tym czasie mało się bawiła, szybko znudzona zabawkami, zaczynała biegać bez celu, wspinać się na meble. Wychodziłam wtedy na spacer i próbowałam do niej mówić. Było to beznadziejne. Głowa była zawsze w drugą stronę, twarz zamknięta, posępna i gnała przed siebie. Mimo to każdą minutę, którą miałam dla niej starałam się wykorzystać. Pokazywałam jej wszystko dokoła, nazywałam, ale musiałam zwracać ją całą w tym kierunku. Często kuciałam przy niej, aby nasze twarze były na jednej wysokości. Nie patrzyła, ale jeżeli nie zaprotestowała, gdy ją obróciłam, to już uznawałam to za osiągnięcie. Wierzyłam, że kiedyś będzie spoglądać we wskazanym kierunku. Ponieważ była mała, a na głos nie reagowała, woziłam ją często na rowerze, w koszyku, bo wtedy miałyśmy twarze na jednym poziomie. Przez cały czas próbowałam nawiązać kontakt wzrokowy. Po jakimś czasie pozwalała mi zwracać rękami swoją głowę we wskazanym kierunku. Wszyscy mieli mi za złe, że ją

zamęczam, ale nie chciałam zrezygnować, bo widziałam małe postępy. Moje wybuchy radości były bardzo przesadne, ale Ania zaczęła je trochę zauważać – jakby oczekiwała na nie. Później życie w domu stało się trochę bardziej zorganizowane, ale na zewnątrz, na podwórku lub ulicy była najbardziej niedostępna, jakby w jakimś transie. Ponieważ nie lubiła, gdy się ją przytula, chyba, że sama to zrobiła, zaczęłam równocześnie pracować nad poprawianiem kontaktu. Brałam kilka zabawek do wanny i razem z nią wchodziłam do kąpieli. W czasie kąpieli starałam się dużo ją dotykać, ale nie zawsze się zgadzała. Dlatego korzystałam z różnych pretekstów; zajmowałam, całe dno wanny i siadała mi na kolanach, mydliłam ją i splukiwałam rękami, a nie gąbką. Codziennie usypiała, leżąc na mnie. Głaskałam ją po plecach i śpiewałam cały czas. Było to bardzo męczące, ale po tygodniach ciągłego bycia ze mną Ania, jakby zaczęła się do mnie garnąć.



Otrzymaliśmy skierowanie do neurologa dziecięcego. Neurolog orzekł bez wahania, że to autyzm wczesnodziecięcy. Mimo, że psychiatra i psycholog nadal nie potwierdzał tej diagnozy byłam bardzo załamana po tej wizycie. Właściwie nie umiałam sobie znaleźć miejsca. Wydawało mi się, że stan Ani się poprawia – myślałam, że to zbyt szybko jak na dziecko autystyczne. Czytałam przecież, że te dzieci uczą się kilka lat pewnych czynności, a odkąd zaczęłam pracować z Anią minęły 3-4 miesiące. Teraz, pracowałam z jakimś dzikim zapamiętaniem, jakby chcąc zaprzeczyć tej diagnozie. Moje zajęcia z Anią były teraz rozplanowane. Chciałam jej dostarczyć bodźców z różnych dziedzin, ale jej koncentracja była bardzo słaba. Pracowałam z obrazkami (początkowo pojedyncze przedmioty, zwierzęta). Zaczęłam od tego, aby spojrzała na wskazany ręką obrazek, później patrzyła na obrazek, gdy wymieniałam nazwę, jeszcze później pozwalała pokazywać swoim palcem (nie zawsze jednak patrząc). Później kładłam dwa, trzy obrazki i sprawdzałam, czy rozróżnia nazwy tych przedmiotów. Wreszcie wśród kilku obrazków pokazywała ten właściwy, ale wkładała swój palec w moją rękę. Dopiero po wielu tygodniach ćwiczeń, kiedy wreszcie wysunęła nieśmiało palec na odpowiedni rysunek wiedziałam, że będzie pokazywać.

Zaczęła w tym czasie szukać kontaktu fizycznego. Potracając, zaczepiając mnie lub męża. Przestała się bać kąpieli, nawet ją polubiła. W dalszym ciągu wymawiała tylko „mniam” przy jedzeniu, burczała przy zabawie, lub krzyczała niezadowolona. Obcych traktowała jak powietrze. Byłam przekonana, że wiele potrafi, tylko coś jej przeszkadza, że trzeba jakoś do niej dotrzeć. Diagnoza była dla mnie strasznym ciosem, nie chciałam się z nią pogodzić. Usłyszałam, że nie będzie mówić lub będzie wypowiadać tylko pojedyncze wyrazy, bez sensu. Nie chciałam w to uwierzyć i upierałam się, że nauczę ją mówić. Nie chciałam słuchać żadnych rad.

Układałam sobie plan zajęć z Anią i codziennie systematycznie z nią pracowałam. Wiedziałam, że nie umie się długo bawić dlatego zmieniałam zabawę co kilka minut. Cieszyłam się po każdym wykonanym ćwiczeniu, ścisnęłam ją, klaskałam w ręce lub dawałam coś w nagrodę. Nigdy nie karałam i kończyłam, gdy wiedziałam, że za chwilę nie wytrzyma. Kończyłam zawsze łatwiejszym ćwiczeniem, aby zakończyć sukcesem. Wykorzystywałam nie tylko obrazki, ale i proste puzzle, zabawki dydaktyczne, które udało mi się kupić, ale najczęściej pomoce zrobione przeze mnie. Różnych zestawów musiało być dużo, gdyż szybko się nudziła. Na stole był zawsze jeden zestaw – nieporządek bardzo ją rozpraszał. Były różne kubeczki, kłódki, serduszka różnych kolorów i wielkości, domina obrazkowe, kostki do gry, duże kostki z obrazkami, karty „Piotruś”, plastelina, kolorowe guziki, dużo koralików, foremki. Zwykle misie, lale i samochody były mało przydatne. Bawiła się nimi przez chwilę. Bardzo zwracałam uwagę na wszystkie codzienne czynności. Mówiłam przy jedzeniu, ubieraniu, myciu. Powtarzałam polecenia, aż do skutku, po kilkanaście razy: „Aniu włóż czapkę”. Jeżeli mimo kilkunastu powtórzeń nie chciała wykonać polecenia, pomagałam jej w tym. Jeżeli była bardzo nerwowa, albo ja byłam zmęczona, nie wydawałam jej żadnych poleceń: przyjąłam zasadę, że każde moje polecenie musi być wykonane. Kiedy protestowała, udawałam, że tego nie słyszę, powtarzałam spokojnie to samo. Nie przyjmowałam do wiadomości jej odmowy. Przy dużym uporze starałam się ją rozbawić: łaskotaniem, kręceniem w kółko, figlami i zwykle udawało się. Im bardziej byłam konsekwentna, tym łatwiej Ania godziła się z moimi poleceniami. Zauważyłam, że najlepiej reaguje, kiedy mówię do niej zwięźle, spokojnie i monotonicznie. Nawet 15-te powtórzenie brzmiało tak jak pierwsze. Zniecierpliwienie w tym początkowym okresie przynosiło rezultat odwrotny – krzyk, niechęć, odejście.

Kiedy zaczęła pokazywać na obrazkach i zabawkach wymieniane przeze mnie rzeczy własnym palcem, rozpoczęłam naukę przynoszenia. Znowu musiałam podzielić tę czynność na etapy.

Kładłam jedną zabawkę na tapczanie (np. myszkę), mówiłam „daj myszkę” i sprawdzałam czy patrzy na nią. Jeżeli Ania patrzyła powtarzałam „daj myszkę”, a gdy pokazała palcem, wtedy wkładałam jej zabawkę do ręki i jej ręką podawałam do drugiej mojej ręki powtarzając polecenie. Powtarzałam to z różnymi przedmiotami często poprzedzałam poleceniem: „pokaż”. Bałam się, że zapomni lub pomyli polecenia. Zwykle po 2-3 tygodniach opanowywała nową czynność. Wtedy kładłam kilka zabawek (5-6) i prosiłam o podawanie ich uważając, by nie robić tego w tej samej kolejności. Później rozkładałam zabawki po pokoju i znów ćwiczyłam ich przynoszenie. Przynoszenie z innego pomieszczenia okazało się bardzo trudne. Najpierw po poleceniu „przynieś piłkę”, zaprowadzałam ją do miejsca, zabierała zabawkę, którą przynosiłyśmy razem. Powtarzałam próby. Potem prowadziłam ją tylko do drzwi i czekałam wycofując się. Kiedy nie byłam w zasięgu jej wzroku, nie

umiała poradzić sobie z poleceniem. Po jakimś czasie podchodziła do przedmiotu, brała do ręki i wracała z pustymi rękami. Albo nieco później przynosiła, ale omijając mnie szła dalej bawiąc się tym przedmiotem. Długo trwało zanim zrozumiała, że ma pójść po przedmiot i podać mi go do ręki. Nawet wtedy nie umiała znaleźć przedmiotu. Kiedy po wielu tygodniach wreszcie to opanowała, wprowadzałam nowe określenia: „małą piłkę”, „piłkę ze stołu”, „czerwoną piłkę”. Zawsze ją nagradzałam i pilnie obserwowałam, by jej nie rozłościć.

W pewnym momencie wprowadziłam układanki obrazkowe. Zaczęłam od obrazków z sześciu klocków. Najpierw sama chcąc zwrócić jej uwagę, próbowałam ją zachęcić obracając klockiem i pytając czy to może ta część. Oczywiście nie potwierdzała ani nie zaprzeczała. W pierwszym dniu mi się nie udało, ale była zaintrygowana, w drugim, po pierwszej próbie zniechęciła się, ale przez kolejne dni próbowała wyszukać brakujące elementy, potem ułożyła obrazek. Później dość szybko opanowała sześć obrazków. Okazało się, że ma dobrą pamięć wzrokową. Układanki stały się jej ulubioną zabawą. Zaczęła się na nich koncentrować coraz dłużej i wkrótce układała obrazki z kilkudziesięciu puzzli. Najśmieszniejsze było to, że brała jeden fragment i kładła go w tym miejscu, gdzie miał być, mimo, że wokół było pusto. Imponowała tym znajomym i innym dzieciom. Po dwóch, trzech ułożeniach pamiętała położenie każdego fragmentu. Było to więc zajęcie, do którego nie musiałam jej zachęcać.

Kiedy jeździliśmy do poradni co miesiąc, zabierałam dwie torby pełne różnych zabawek. Przez cały czas w pociągu musiałam ją zajmować zabawą (1 godz. jazdy). Kiedy znudziła się zabawkami, natychmiast wstawiała na siedzeniu, podskakiwała, próbowała wchodzić na okno. Wzbudzało to zainteresowanie pasażerów, a ja nie byłam jeszcze na to obojętna. Zawsze wtedy kupowałam jej coś nowego i bawiła się trochę dłużej. Nauczyłam się wyszukiwać w sklepie zabawki, które mogły posłużyć do rozwoju Ani.

Często wychodziłam z Anią do miasta i wstępowałyśmy do baru na krem lub lody. Chciałam dostarczać jej nowych wrażeń i przyzwyczajać do normalnych zachowań w miejscu publicznym. Ania szybko zjadała deser i natychmiast przestawała być zainteresowana, wstawiała i zaczynała biegać lub wychodzić. Musiałam być wcześniej gotowa do wyjścia. Później próbowałam przedłużyć jej pobyt składając serwetkę na stole, odnosząc z nią naczynia lub pokazując jej coś. Wiedziałam, że teraz kiedy ma 4 lata, ludzie łatwiej zaakceptują jej dziwne zachowanie, niż gdy będzie miała 10 lat. Mimo, że bardzo mnie to krępowało, jakoś rozumiałam, że jest to wyścig z czasem. Wchodziliśmy także do kościołów. Oglądała wtedy malowidła i witraże, rzeźbione ławki. Ale po kilku chwilach musiałyśmy wychodzić.

Zabawy ruchowe też traktowałam jak ćwiczenia. Codziennie starałam się czegoś ją nauczyć. Rzucanie przedmiotem (poduszką, misiem, piłką) stwarzało duże

problemy. Na początku nie wkładała w to nawet minimum wysiłku, była bezwolna, nie naśladowała mnie. Musiałam podtrzymywać jej ręce i podrzucać nimi.

Ania pozostawiona bez zabawy patrzyła bezmyślnie w przestrzeń. Byłam wtedy jak w transie, mój umysł był nastawiony na Anię. Kiedy tylko była ze mną zawsze wymyślałam jakieś zabawy, ćwiczenia, choćby zwykłe figle. Na początku był to trudny wysiłek umysłowy, ale później weszło mi to w nawyk tak bardzo, że nie umiałam spokojnie wypić herbaty czy porozmawiać, aby o niej nie myśleć, nie planować czegoś, nie wykorzystywać nadarzającej się sytuacji. Ania zaakceptowała mnie i godziła się na nasze treningi.



Najważniejsze (co musiałam w sobie zmienić) to nastawić się do niej tak pozytywnie, jak tylko potrafiłam. To, że ją kochałam to oczywiste. Ale zrozumiałam, że muszę ją polubić taką, jaka jest. Zaakceptować, cieszyć się z nią, wejść w jej świat, spróbować myśleć na jej poziomie. Nie mogłam tego udawać – nie można czegoś udawać przez tyle godzin dziennie. Przestałam się niecierpliwic, irytować, nie odczuwałam zawodu, gdy coś się nie udało, tylko starałam się zrozumieć, jaką drogą to osiągnąć. To nie ja miałam być zadowolona, lecz Ania, aby mogła uwierzyć w siebie. W tym czasie zaczęłam myśleć, co zrobić, aby przygotować ją do zerówki. Rozpoczęłam naukę rysowania, wycinania, sklejania, zabawy z plasteliną, labirynty, kolorowanie itp. Wtedy nauczyłam ją siedzenia na moich kolanach. Były to najspokojniejsze chwile z Anią. Siedziała mi na kolanach i bawiła się – byłam zachwycona.

Rysowanie okazało się trudniejsze, niż myślałam. Miała opory przed wzięciem ołówka. Przez pierwsze dni wkładałam ołówek na 1 minutę i zaciskałam jej rękę, aby nie wypadł. Później, gdy go zaakceptowała, robiłam próby rysowania czegoś jej ręką (kreski, pętelki, kółka). Gdy odważyła się sama coś nabazgrać, chwaliłam i wieszłam na wystawce. Po kilku tygodniach ćwiczeń rysowanie stało się jej ulubionym zajęciem. Podobnie było z nożyczkami. Przez kilka dni wkładałam je na chwilę do jej ręki. Trzymała nieporadnie. Później robiłyśmy razem jedno „ciach” (z początku bez papieru, później na sztywnej tekturce) i kiedy udało się pierwsze samodzielne nacięcie, uważałam to za wielki sukces. Stopniowo nauczyła się przecinać cienkie kartki na dwie części. Wkrótce stół był zasypywany ścinkami gazetowymi. Kiedy pokonywała pierwsze opory, przestała się zniechęcać i wyzwała się w niej wytrwałość, większa niż przeciętna. Zaczynała to lubić i dochodziła sama do dużej sprawności. Nie było w niej jednak spontanicznej ciekawości i chęci spróbowania. Do wszystkiego ją prawie zmuszałam.

Wprowadziłyśmy podział zajęć. Kiedy mówiłam „Ania - teraz się uczymy” przychodziła do mnie do stołu. Potem, kiedy wykonała wszystko, wyściskałam ją i mówiłam „teraz możesz iść się bawić”. Ten sposób bardzo jej odpowiadał, lubiła gdy było systematycznie i po kolei. Dość szybko zaprzyjaźniła się z plasteliną:

z początku musiałam ją rozgrzać w swoich palcach, bo zbyt słabo naciskała, a nawet robiłam jej plastelinowe węże, z których łatwiej coś mogła ulepić. Później robiła piękne figurki, całe grupy figur, z bardzo dużą precyzją i z różnymi drobnymi szczegółami. Były to małe „dzieła sztuki”. Z rozróżnianiem kolorów też dość szybko sobie poradziła. Używałam do tego ćwiczenia kolorowych kubeczków, koralików i papierowych figur geometrycznych, pchełek do gry lub pionków. Rozdzielaliśmy je według kolorów, ilości itp. Potem uczyłam ją nazywania tych kolorów, korzystając z różnych sytuacji w domu (przy ubieraniu, dzieleniu cukierków, rozkładaniu talerzy przed obiadem).

Aby wprowadzić pojęcie liczby i symbole liczby, przygotowałam plansze z cyframi, a wokół niej zbiory różnych rzeczy. Plansza wisiała cały dzień w jej pokoju. Od czasu do czasu podchodziłam do niej i prosiłam: „pokaż cztery” i razem liczyliśmy elementy zbiorów (oczywiście Ania palcem). Zorientowałam się, że wszystko, co wisiało na ścianie, szybko było zapamiętane. Sama interesowała się tym, co powiesiłam. Potem często brała mnie za rękę, prowadziła do planszy i pokazywała, chcąc bym ją mówiła, co pokazuje. Albo czekała, co powiem, żeby mogła pokazać. Bardzo mnie to cieszyło, gdyż oszczędzałam dużo czasu, a ona jakby sama przyswajała sobie pewne wiadomości.

Czasem wydawało się mi, że pewnych rzeczy nie zrozumie, bo nie jest przygotowana, ale ona przeskakiwała (lub omijała jakoś) ten sztucznie przeze mnie ustalony etap. Zauważyłam również, że czynności które nauczyła się na kilku przedmiotach przenosi na inne. Zaczęłam bardziej wierzyć w jej możliwości. Bardzo dbałam, by każdy nasz kontakt był dobry, żeby okazać jej moje przywiązanie, aby jak najczęściej kontaktować się wzrokiem, dotykiem. Bawiliśmy się razem na czworakach, śpiewałam piosenki z klaskaniem, podskokami, wymachiwaniem rąk, kręciłam się z nią w kółko, co bardzo lubiła. Starłam się o wesoły, pogodny nastrój. Nadal nie naśladowała. Jej pokazywanie wyglądało sztucznie i nie było spontaniczne. Była jednak bardziej pogodna, czuła się bezpiecznie obok mnie.

Do zabaw ruchowych włączałam już młodsze dziecko (2 lata młodsze). Ponieważ w tym czasie miałam taki nawyk, że gdy tylko wchodziłam do domu, zaczynałam śpiewać, Ania już przed 4-tym rokiem życia zaczęła nucić dwie proste melodie na jedną sylabę. Tylko wtedy, gdy chciała, nie na polecenie. Nadal organizowałam jej wszystkie zajęcia, sama dość szybko nudziła się i zaczynała bez celu krążyć po domu. Już przed ukończeniem 4-go roku zaczęła się uśmiechać i nawiązywała ze mną kontakt wzrokowy. Stopniowo zaczęła domagać się pochwał, skakała, gdy się jej coś udało, okazywała radość dźwiękiem o innym brzmieniu i mimiką. Około 4-go roku poprawił się kontakt Ani z grupą: sama biegła do kółeczka zostawiając zabawki.



Za radą psychologa włączyłam do pracy z Anią męża i moich rodziców, którzy mieszkali w pobliżu. Mogli ćwiczyć tylko to, co ja wcześniej utrwaliłam, ale i tak mieli z nią sporo kłopotów. Ania nie chciała ich słuchać. Po pewnym czasie niechętnie wykonywała ich najprostsze polecenia. Rodzina pomogła mi w wyprowadzeniu Ani spod moich skrzydeł. Nie wprowadzali swoich zmian, nie rozpuszczali jej, lecz postępowali z nią tak, jak o to prosiłam. Zdawali mi dokładnie relacje z tego, co i jak zrobiła. Ponieważ Ania była w przedszkolu do godziny 12-tej, odbierali ją dziadkowie i zabierali do siebie. Miała tam przygotowane zajęcia, a oprócz tego oglądała z dziadkiem kurczęta, kaczki i baranki. Ja po skończeniu pracy (13-14) odbierałam ją od rodziców. Nadal nie mówiła, ale udawało mi się wymóc na niej słowa „mama”. Sama powtarzała „*mniam*” przy jedzeniu lub „*deja, deja*”. Bawiła się dłużej jedną zabawką. Bardzo lubiła zabawy konstrukcyjne i manipulacyjne, pojawiły się także elementy zabaw tematycznych (woziła lalkę w wózku, ubierała lalkę, układała lalki w szeregu). Pokazywałam jej, jak lalę przytulić, śpiewałam kołysanki, ale zaraz odbierała mi je i układała w wózku. Ponieważ młodsze dziecko zaczęło już mówić, rozpoczęłam ćwiczenia z wydawaniem dźwięków. Siadałyśmy w „kółeczku”, ja wypowiadałam: „*miau*”, Małgosia powtarzała, Ania oczywiście nie. Ale codziennie ćwiczyłyśmy kilka takich wyrazów. Zauważyłam, że Ania, gdy śpiewam, często wpatruje się w moje usta i bezgłośnie porusza wargami. Wtedy zwiększyłam ilość ćwiczeń dźwiękowych. Mówiłam i kierowałam jej uwagę na moje usta. Wtedy za radą logopedy zawiesiliśmy na ścianie nad stołem lustro. Mówiłam szeroko i wyraźnie pokazując jej swoje usta w lustrze i bez lustra. Była już wtedy bardzo zdyscyplinowana i nie musiałam jej zmuszać do ćwiczeń. Przyjmowała je jak coś oczywistego. Wydawało mi się, że już wszystko rozumie, co do niej mówię.

W tym czasie uczyłam ją także kolorować obrazki. Wyglądało to tak, że brałam kredkę i pokazywałam palcem: „tu pomaluj”. Ania pokreśliła trochę. Podawałam jej następną i wskazywałam nowe miejsce. I te umiejętności doprowadziłyśmy powoli do dużej sprawności koło 5-6 –go roku życia. W tym czasie koncentracja na tyle się poprawiła, że udało mi się nauczyć ją jeździć na rowerku (z bocznymi kółkami) w ciągu 3 dni. Wcześniejsze próby kończyły się zniecierpliwionym krzykiem i rezygnowałam. Jeżeli coś nie udawało się zupełnie, odczekałam kilka tygodni i ponawiałam próby. Tym razem słuchała, co do niej mówię, pozwoliła kłaść nogi na pedały i naciskałyśmy razem. Po kilku próbach robiłam przerwy, żeby jej nie zniechęcić. Ćwiczenia powtarzałam kilka razy w ciągu dnia. W trzecim dniu jeździła sama, była bardzo zadowolona.

W wieku 4 lat Ania była wyciszona, cięła nożyczkami, jeździła na rowerku, pokazywała ręką, ciągle się myląc, rysowała linie zamknięte i „głowonogi”, sama się ubierała, myła ręce, zaczęła okazywać radość, wydierała z papieru, układała puzzle,

potrafiła dzielić przedmioty według kolorów, nawlekać na żyłkę. Jednocześnie nie umiała naśladować gestów, nie obrażała się, nie umiała płakać, często nie rozumiała czego się od niej chce – koncentracja uwagi była nadal słaba, w czasie własnej zabawy prawie nie reagowała na polecenia. Była zamyślona. Jeżeli polecenie było tylko słowne (bez gestów pomocniczych) myliła się, szła do babci, zamiast do dziadka itp. Ciągle wspinała się na meble: szybko i zwinnie. Pokrzykiwała lub wydawała nieartykułowane dźwięki, jakby „ćwicząc głos”, nuciła melodie. Potrafiła oglądać bajkę w telewizji do 15 minut, stała się wstydliva wobec obcych (zauważała ich), chowała się za mną. Nadal bała się nowych rzeczy i czasami cieszyła się nie wiadomo z czego.



Myślę, że przełomowym momentem w rozwoju Ani były wakacje, które spędziłyśmy (Ania, Małgosia i ja) z moją kuzynką i jej synem Filipem w górskiej miejscowości. Był to prywatny, letni domek. Byliśmy swobodni, nikt nas nie krępował. Miałam ze sobą mnóstwo „pomocy naukowych”, zabawek, itp. - więc nie przerywałyśmy naszych ćwiczeń, wciągnęłyśmy w nie także Filipa. Myślę, że zmiana otoczenia, nowe znajomości, nowe wydarzenia dobrze wpłynęły na Anię (już nie bała się zmian). To właśnie po tych wakacjach nastąpił przełom.



We wrześniu Ania mając 4,5 roku przeszła ze swoją grupą do średniaków. Było z tym trochę kłopotu – Ania nie mówiła, wydawało się to niektórym bezsensowne. Niektórzy nawet dziwili się, że nie wstydzę się posyłać „takiego dziecka” do przedszkola. Mnie bardzo zależało na tym, aby Ania nie zmieniała grupy rówieśników (dzieci już ją zaakceptowały, ona – je też), a także dlatego, by nie chodziła do maluchów trzeci rok. Wydawało mi się, że trzeba również w grupie zwiększyć Ani wymagania. Znalazłam oparcie w wychowawczyni Ani, która opiekowała się nią dwa lata. To Ona zdecydowała, że zabiera Anię ze swoją grupą, bez względu na inne opinie. Myślę, że była to dla Ani korzystna decyzja. Tej osoby również nigdy nie zapomnę.

Teraz wiedziałam, że córka będzie mówić. Wiele na to wskazywało. Od pewnego czasu stale wydawała różne dźwięki, mruzczała przy zabawie, wykrzykiwała coś głośno leżąc w łóżku, na powitanie bezgłośnie poruszała ustami, przypadkowo wypowiadała niezrozumiałe słowa, nuciła melodię znanych piosenek. Nasz kontakt stale się poprawiał. Domagała się pochwał, skakała, gdy coś się jej podobało, lubiła młodszą siostrę. Poprawił się kontakt wzrokowy i mimika Ani. Reagowała na proste polecenia. Udawało jej się czasem wymówić spontanicznie słowo „mama”. Jak już wcześniej wspomniałam, często powtarzała, trochę jak refren „deja-deja” – wydawało mi się, że w niektórych sytuacjach zastępowało to słowo „daj”. Przy jedzeniu często mówiła „mniam”. Nigdy ich jednak nie mówiła na polecenie i nie można było

stwierdzić czy są wypowiedane celowo, czy była to zabawa dźwiękiem, którą ostatnio bardzo lubiła.



Ten dzień pamiętam dokładnie, było to 14.09.1988 r. Ania miała równo 4,5 roku. Byliśmy w ogrodzie, Ania huśtała się stojąc na huśtawce i w pewnym momencie wykrzyknęła głośno i wyraźnie słowo „tata”. Zabrzmiało to inaczej niż dotychczas, jak radosne zawołanie. Zamarliśmy oboje z mężem. Po czym podbiegliśmy do niej, aby ją wyściskać. I wtedy poprosiłam, aby powtórzyła „tata” – Ania powtórzyła bez oporu. Powtórzyła także kilka innych prostych słów: mama, baba, ciocia, jeść, Ania. Byłam jak w euforii. Półtora roku mojej pracy z Anią przyniosły rezultaty. Tego dnia kilka razy ćwiczyłam z nią powtarzanie. Bałam się, że to minie – ale nie minęło. Ostatni raz powtórzyłyśmy krótki zestaw słów przed snem już w łóżku. Ania robiła to chętnie – może cieszyła się, że potrafi! Odtąd powtarzałyśmy zestaw słów kilka razy dziennie, najpierw w stałej kolejności potem, za każdym razem w innej. Codziennie dodawałam 2-3 nowe wyrazy, a starsze, już utrwalone powtarzałyśmy rzadziej. Mimo że znane przedmioty rozpoznawała na obrazkach, początkowo wolała ćwiczyć tylko dźwięki, bez obrazków. Chciałam się nacieszyć tym, że wydaje dźwięki i widziałam, że ją ta „zabawa mową” bardzo zajmuje. Po pewnym czasie, gdy byłam pewna, że moja Ania nie zamilknie, przeszłyśmy do łączenia wyrazów z przedmiotami, obrazkami, czynnościami dnia codziennego. Co ciekawe, okazało się, że nie ma specjalnych trudności z samym wymawianiem. Wyrazy po kilku ćwiczeniach brzmiały poprawnie. Wyrazy, które wcześniej pokazywała teraz mówiła i rozpoznawała na obrazkach. Ale trudno było powiedzieć, że Ania używa mowy. Były to ćwiczenia oderwane od otaczającej rzeczywistości. Zdałam sobie sprawę, że to co sprawnie wypowiada na ćwiczeniach, nie jest przez nią prawie wcale używane do komunikowania się z nami. Mówiła na polecenie lub do siebie, nie zwracała się do nas spontanicznie. Uzmysłowiłam sobie jaka jeszcze praca jest przed nami i przerażała mnie myśl, że być może Ania nigdy nie będzie się z nami komunikować naturalnie i spontanicznie.



Wraz z możliwością mówienia pojawiła się chęć do rysowania oraz umiejętność rzucania piłką i stukania młotkiem. Nie wiem dlaczego, ale te czynności wydawały mi się jakoś ze sobą związane, łączyłam to z jakimś „tajemniczym odblokowaniem”. Zniknęły także dawne lęki przed nowością. Już po 2 tygodniach wymawiała 40 wyrazów. W tym czasie będąc w średniakach zaczęła pracować z dziećmi przy stoliku: malowanie, wycinanie po konturach, klejenie, lepienie z plasteliny, układanie domina obrazkowego, liczbowego, geometrycznego. Kiedy widziała, że rysuję, zabierała mi ołówek i kończyła mój rysunek. Lubiła rysować po kropkach, obrysowywać obrazki. Ania nadal nie organizowała swoich zajęć, lubiła

się izolować, ale pojawiły się jakby „elementy agresji”, nie była już taka bezradna i bezwolna, potrafiła odepchnąć siostrę, próbowała walczyć „o swoje”. Wspólne zabawy z siostrą nadal były nieudane, ale zaczęła słuchać poleceń Małgosi. Lubiła słuchać wierszyków, opowiadań na bazie jednego obrazka, wносиła książeczki i kazała śpiewać o tym, co pokazuje, spała z ulubionym misiem, którego wszędzie zabierała (pokazywała jak płacze, przytulała go, bandażowała i robiła zastrzyki)

Teraz przy każdej okazji nazywałam wszystko, co było wokół: czynności, osoby itp. i nakłaniałam do powtarzania. Później łączyłyśmy wyrazy po dwa, jeszcze później w proste zdania. Z powtarzaniem Ania nie miała kłopotów, ale komunikowanie było daleko w tyle. Po pół roku ćwiczeń mówiła zdaniami twierdzącymi. Zazwyczaj o tym, o czym sama chciała, śpiewała 3-zwrotkowe piosenki, nie umiała jednak odpowiadać na nasze pytania, a tym bardziej ich zadawać. Odpowiadanie na pytania polegało na powtarzaniu tymi samymi słowami końcówki pytania lub ostatniego słowa. Brzmiało to, jak monotonne „echo”. Czasami spontanicznie przekazywała różne treści, ale lubiła wracać stale do tych samych tematów. Przychodziła do mnie na kolana i „opowiadała” w ten sposób. Czasami nie docierały do niej nasze słowa. Trzeba było mówić bardzo zdecydowanym tonem, czasem śpiewem powtarzała to, co do niej mówiliśmy. Początkowo mówiła o sobie Ania, w trzeciej osobie. Po jakimś czasie, gdy chciała coś zrobić, mówiła o sobie „zrób to” – tak jak my zwracaliśmy się do niej (zamiast „zrobię to”).

Zanim znalazła się w zerówce „przerobiłyśmy” trzy razy wszystkie ćwiczenia przeznaczone dla tej grupy przedszkolnej. Umiała już liczyć do 10-ciu, czytała samogłoski i nazywała 6 kolorów. Ania wyrobiła sobie rękę, dobrze kolorowała, częste ćwiczenia z labiryntami wyrobiły w niej dokładność w prowadzeniu linii. Ta praca była dla mnie o tyle łatwa, że Ania miała nawyk pracy „stolikowej” i bardzo to lubiła. Kiedy jej zdania twierdzące były już wypowiedziane swobodnie, zaczęłam próby zbliżające nas do dialogu. Rozpoczęliśmy próby sensownej odpowiedzi na nasze pytania. Chodziło najpierw o pytania typu „czy chcesz ...”. Ania dość szybko pojęła, że oczekuję od niej jakiejś odpowiedzi, więc wymieniała przypadkowo „tak” lub „nie”, lub powtarzała ostatnie słowo przeze mnie wypowiedziane; np. zapytana: „Czy chcesz jabłko, tak czy nie?” odp.: „Nie”. „Chcesz jabłko nie czy tak odp.: „Tak”. Jeżeli nie wymieniłam „tak”, „nie” odpowiadała „jabłko”. Było to bardzo sztuczne i wypowiedziane od niechcienia (dla świętego spokoju). Na pytania, w których był wybór odpowiadała ostatnim wyrazem (jabłko czy sok, odp.: sok). Nie rozumiała do końca czego od niej chcę, a ja nie mogłam jej przecież wytłumaczyć.

Pozostawały ćwiczenia – jakkolwiek wydawały się sztuczne czy bezsensowne. Postanowiłam ćwiczyć, ale przygniatała mnie myśl o nieskończonej ilości sytuacji życiowych – przecież nie zdołam ich wszystkich przerobić! Ćwiczenia z odpowiadaniem były bardzo wyczerpujące. Przy każdej sytuacji, gdzie można było

zadać pytanie „czy chcesz ...” odbywał się cały rytuał odpowiadania. Jak dawniej musiałam uważać, aby nie przekroczyć granicy jej cierpliwości i nie rozzłościć jej.

Po wielu tygodniach prób i natychmiastowego reagowania na jej odpowiedź (cofaniem ręki lub podaniem przedmiotu) udało się uzyskać tyle, że w jakiś sposób potwierdzała (gdy chciała): słowem tak, nazwą przedmiotu lub wyciągnięciem ręki. Trudniej było z zaprzeczaniem – raczej widzieliśmy, że nie chce niż słyszeliśmy słowo „nie”. Na słowo „nie” musieliśmy jeszcze długo czekać. Jednak udało się osiągnąć to, że Ania w jakimś sensie „dokonywała wyboru”. Równie trudno było uzyskać odpowiedź na pytanie „to czy tamto?”. Oczywiście nie wystarczyło skorzystać z naturalnych sytuacji, trzeba je było sztucznie prowokować, aby było ich dość dużo w ciągu dnia. Zasadą było nie robić nic bez jej odpowiedzi. A Ania nie lubiła odpowiedzi: odpowiadała „byle co” lub śpiewała pytanie, dopiero ponawianie kilka razy pytania, czasem podpowiedzenie odpowiedzi oraz powtórzenie kilka razy pytania i odpowiedzi kończyło całe ćwiczenie. Wyglądało to naprawdę beznadziejnie. Ale w tym czasie udały nam się pierwsze próby pertraktacji „zrobisz to... to dostaniesz...” Oczywiście w pierwszym okresie były to targi o coś dobrego do jedzenia.

Gdy miała 5,5 roku pojawiło się coś w jej mowie, co poprzedziło zadawanie pytań. Jeżeli chciała coś zrobić, to wypowiadała to w formie twierdzącej „Ania to zrobi”, ale w oczach widzieliśmy jakby pytanie, Ania czekała na przyzwolenie lub zakaz. Nie było jednak żadnych pytań dotyczących tego co się wokół dzieje, jakby ją to nie interesowało. Jej spontaniczne wypowiedzi stały się jednak ładniejsze i zaczęła się zwracać z nimi do rówieśników.

Kiedy Ania ukończyła 6 lat pojawiło się w jej wypowiedziach słowo „ja” i na wiele pytań udzielała już sensownych odpowiedzi. Niestety nie zawsze po pierwszym pytaniu. Odpowiedzi wymagały od niej nadal zwiększonej koncentracji i pełnej gotowości. Ale przywiązywaliśmy do nich dużą rolę – rozmowa z Anią była moim wielkim marzeniem. Po tygodniach ćwiczeń miała już „tematy przerobione” i wtedy „rozmawiała” pewnie i odpowiadała odważniej. Przy nowych sytuacjach wcale nie odpowiadała lub mówiła cokolwiek. Mowa Ani była nadal dość monotonna, sztywna. Nie potrafiła odpowiednio modulować głosu. Aktywność słowna Ani nadal była mała, przez cały czas prowokowaliśmy ją do mówienia. Dobre stosunki między nami, pełna akceptacja tego, co Ania robiła z własnej inicjatywy, ignorowanie tego, co robiła źle lub niepotrzebnie, oraz stanowczość było warunkiem, abyśmy posuwały się naprzód. Bardzo dobrze ją wtedy znałam: z drobnych grymasów lub ruchów ciała umiałam przewidzieć, co zrobi lub co chce. Ta umiejętność przewidywania była bardzo ważna, bo potrafiłam w ten sposób uprzedzić pewne reakcje lub zapobiec różnym przykrym wydarzeniom. Później, kiedy lepiej rozumiała mowę, uprzedzałam ją, co może się zdarzyć i przyjmowała spokojnie sytuacje, które wcześniej wywoływały w niej złość, niezadowolenie lub strach.



W zerówce czas pracy przy stoliku wydłużył się, koncentracja znacznie się poprawiła, Ania była o wiele spokojniejsza i nikt nie poznałby, że była kiedyś nadpobudliwa. W tym czasie nauczyła się jeździć rowerkiem na dwóch kółkach bez większego trudu. Ponieważ w zerówce nauki było sporo, nasze działania w przedszkolu i w domu były podobne i uzupełniały się. Umiejętności utrwalone w różnych miejscach, były przez Anię łatwiej przyswajane jako jej własne. Od początku naszej pracy występował jakby podział jej umiejętności. Były te, które ćwiczyłyśmy, które robiła na polecenie, trochę sztucznie i były te, które umiała, robiła sama, spontanicznie. Różnica między nimi była wielka. Pierwsze wykonywała trochę jak robot, jakby od niechcienia, musiały być ciągle powtarzane, gdyż inaczej zapomniała lub nie chciała ich wykonać. Drugie robiła chętnie, jak zdrowe dziecko. Ale obserwowałam, że większość umiejętności przechodziła z fazy pierwszej do drugiej. Na to właśnie liczyłam ćwicząc sztucznie jej mowę. Najtrudniejsze było nauczenie jej zadawania pytań. Przez wiele miesięcy pytała tylko na polecenie i z intonacją zdania twierdzącego.

Z zerówki wyszła Ania z umiejętnością czytania liter, liczb, ale nie potrafiła ich łączyć w wyrazy, słowa umiała dzielić na sylaby i wyodrębniać pierwszą i ostatnią głoskę w słowie.

Pozostały nam wakacje, aby nauczyć ją czytać. Ćwiczyliśmy codziennie po 30 minut czytanki ze starego elementarza. Były to krótkie teksty, Ania po trzecim przeczytaniu umiała je prawie na pamięć. Codziennie czytałyśmy najpierw wyuczony tekst i przechodziłyśmy do następnego, który czytałyśmy trzy razy. Ania dawała się już wtedy przekupić, wiedziała, że po czytaniu będzie jakaś nagroda. I znowu jak przedtem nie można było przerwać rytuału nawet na niedzielę, bo w poniedziałek były ogromne kłopoty ze zmobilizowaniem Ani do pracy. Wymagało to żelaznej dyscypliny przede wszystkim od nas. Podczas czytania zorientowałam się, że Ania ma kłopoty z łącznym czytaniem spółgłoski i samogłoski: „pi” czytała osobno „p...i” i nie słyszała dobrze brzmienia sylaby. Zrobiłam dużą tablicę z zapisanymi różnymi sylabami i powiesiłam ją na ścianie w widocznym miejscu. Kilka razy w ciągu dnia podchodziłam do niej na chwilę i odczytywałam sylaby na głos, później zachęcałam Anie do czytania i powtarzania. W ciągu wakacji, czytając po 30 minut dziennie, nauczyła się składać wyrazy i czytać proste czytanki. Bardzo obawiałam się posłać Anię do szkoły, ale wiedziałam, że to dla niej wielka szansa. Do pierwszej klasy poszła ze swoją grupą z zerówki. Dzieci były przyzwyczajone do jej dziwnych zachowań i potrafiły się z nią porozumieć. Mimo to, wszystko w nowym miejscu sprawiło jej problem. Nie potrafiła przystosować się do 45- minutowych lekcji, nie potrafiła wysiedzieć cicho w ławce. To, co w grupie przedszkolnej było tolerowane, teraz było wyraźnie zauważalne, przeszkadzało w prowadzeniu lekcji. Nuciała na lekcji ulubione melodie, kładła się na krześle lub kołysała się, wychodziła

z ławki. Często zamiast wykonywać polecenia, robiła swoje ulubione rysunki. Największym problemem było to, że Ania w ogóle nie słuchała poleceń mówionych do całej grupy. Nauczycielka musiała podchodzić i kilka razy mówić do niej. Problemem było także to, że nie wszystkich słuchała tak, jak mnie. Właściwie byłam dla niej największym autorytetem i tego, co na moje polecenie robiła dość chętnie, inne osoby nie mogły wyegzekwować. Po otwartym buncie i krzyku, kiedy napotkała na konsekwencję nauczycielki, Ania próbowała różnego rodzaju wykrętów, np. nie mogła pisać, bo pióro było za ciężkie, albo bolały ją paznokcie itp. Lekcje w szkole wymagały skupienia uwagi na jednym przedmiocie dłuższy czas, a Ania była przyzwyczajona, że dość często zmieniałam jej temat zajęć. Osobny rozdział stanowiły przerwy. Ania bawiła się sama, podskakiwała, robiła różne grymasy czym zwracała uwagę uczniów innych klas. Często robiono sobie z niej żarty, prowokowano do śmiesznych zachowań np. rozrzucano cukierki, paluszki, ciastka, które Ania zbierała z podłogi i jadła. Wiele trwało zanim społeczność uczniowska zaakceptowała jej odmienność. Każdy nowy rocznik przybywający do szkoły podobnie reagował. Trzeba było wiele wysiłku wychowawców i pracowników szkoły, aby Ania była traktowana bez doznawania przykrości. Dzięki samozaparciu i konsekwencji nauczycielki, Ania powoli przystosowywała się do wymogów szkolnych, przynajmniej tych najważniejszych. Dzięki indywidualnemu podejściu z każdej lekcji coś wносиła, co potem ćwiczyłyśmy i utrwalaliśmy w domu. Bez codziennej mojej współpracy z wychowawczynią Ani, chyba nie udałaby się próba zaadaptowania się Ani w szkole.

Ania lubiła działania z matematyki i doszła w nich do dość dużej samodzielności – wystarczyło, że zaznaczyłam ołówkiem, które ma wykonać i sama odrabiała zadanie. W pierwszej klasie udało się Ani osiągnąć samodzielność w drodze do i ze szkoły. Przez pierwsze tygodnie odprowadzaliśmy ją do szkoły i zawsze ktoś po nią przychodził. Później pozwalałam jej samej wychodzić do szkoły, a sama po kilku minutach podążałam za nią na rowerze i obserwowałam. Wcześniej przećwiczyłyśmy przechodzenie przez drogę (mieszkamy na wsi) na każdym skrzyżowaniu. Po kilkunastu dniach obserwacji i przećwiczeniu tego, co robiła źle, pozwoliliśmy jej chodzić samej, a obserwowaliśmy ją już tylko wyrywkowo. Ania nie lubiła, gdy ją pilnowaliśmy podczas drogi, musieliśmy robić to dyskretnie. Ania podczas drogi szła przed dziećmi lub za – zawsze sama, często przystawała, oglądała czyjś ogródek, karmiła kanapką groźnego psa za płotem (ona się go nie bała, a on nawet na nią nie czekał – o tym dowiedzieliśmy się znacznie później), zbierała świecące papierki, kawałki szkła, plastiku i różne „skarby”, czasem wrzuciła komuś do ogrodu znaną pustą butelkę. Po powrocie do domu było zawsze wiele rozmów na temat tego, co robiła i dlaczego, wiele przestróg – o obcych ludziach, samochodach, zwierzętach. Mimo to lęk o Anię towarzyszył mi przez cały jej pobyt w szkole, ale czułam, że trochę muszę zaryzykować, aby ona mogła się usamodzielnąć. Koniec I-jej

klasy i pierwsze świadectwo przyjąłam ze łzami w oczach. Przez wakacje pozwoliłam jej odpocząć od nauki szkolnej z wyjątkiem czytania. Za to zajęliśmy się sprawnością ruchową: piłką, huśtawką, skakanką, rzutami do kosza, odbijaniem od ziemi i od ściany. Zależało mi na zabawach w grupie. Przy stoliku zaczęliśmy wprowadzać gry planszowe z rzucaniem kostką i przesuwaniem pionków. Wydawało się, że Ania nigdy nie pojmie reguł gry. Kiedy nawet je pojęła, nie miała cierpliwości czekać na swoją kolejkę. Po wielu próbach udało się uzyskać tyle, że zawołana rzucała kostką, przesuwiała pionek i odbiegała do swojej zabawy. Trzeba było znowu ją wołać. Nie zawsze chciała przyjść. Jak z każdą nową rzeczą, na początku nie chciała w ogóle próbować. Po jakimś czasie jednak potrafiła przez chwilę obserwować ruch innych pionków. Dużo później zrozumiała, że chodzi o wyścig. Wtedy także były problemy – Ania nie umiała przegrywać – złościła się i rozrzucała pionki. Przywiązywałam dość dużą wagę do gier – wydawało mi się, że nauczą Anię respektowania reguł w grupie, z czym miała duże kłopoty. Kupowałyśmy atrakcyjne plansze lub rysowałyśmy własne, mnożąc przeszkody i zmieniając reguły. Nawet Ania zaczęła rysować swoje plansze – wtedy gra stawała się dla niej bardziej atrakcyjna.

W drugiej klasie wyniknął problem z czytaniem. Krótkie czytanki się skończyły i rozpoczęły się o wiele dłuższe, których nie dało się tak szybko zapamiętać (Ania przy czytaniu bazowała na dobrej pamięci wzrokowej i słuchowej). Zniechęcało ją czytanie tekstu, którego w całości nie mogła ogarnąć. Wtedy zdecydowałam, że nie będziemy czytać długich czytanek, nawet jeżeli na razie czytanie będzie „kulało” w szkole. Postanowiłam nauczyć ją systematycznego czytania. Wyszukiwałam ciekawe, krótkie bajeczki i codziennie czytałyśmy razem. Najpierw Ania, potem ja i znowu Ania. Początkowo nie interesowały ją, zatrzymywała się w dowolnym momencie, rozglądała po pokoju, odbiegała myślami daleko. Ciągle musiałam ją mobilizować, a ona jakby nie odczuwała upływu czasu. Było to tak męczące dla mnie i zniechęcające dla Ani, że wiedziałam, iż nie można tego w tej formie utrwać. Pierwszy raz stanęłam przed tak dużą trudnością w mobilizowaniu Ani do pracy. I wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Pomyślałam o klepsydrze. Ale okazało się, że jest nie do osiągnięcia w sklepach. Wtedy pomógł mi mąż – elektryk. Z dwóch odpowiednio ukształtowanych słoików, korka i piasku ze starych bezpieczników zbudował klepsydrę. Kiedy pokazaliśmy ją Ani i powiedzieliśmy, aby przeczytała mały fragment tekstu zanim piasek się przesypie, spojrzała na przesypujący się piasek i powiedziała: „czas płynie”. Nie wiem jakim sposobem utrafiła w samo sedno. Odtąd zadawałam jej do czytania odpowiedni fragment i określałam „za trzy klepsydry” przeczytaj. Nie patrzyła na klepsydrę, ale potrafiła czytając zauważyć, kiedy piasek się kończy i sama sobie ją odwracała. Myślę, że pomogliśmy jej – zaczęła kontrolować czas. Nasza nauka czytania nie była łatwa, ale stała się o wiele mniej męcząca – czytanie zajmowało nam o wiele mniej czasu.



W tym czasie Ania miała momenty ciągłego mówienia, przychodziła wtedy do mnie i odwracała moją twarz w swoją stronę – musiałam jej wysłuchać. Niestety często powtarzała stały temat, aż do znudzenia. Pojawiły się komiksy w jej rysunkach. Ciekawe też było, że okresowo zmieniała sobie imię. Najpierw była „Krzysiem-Rysiem”, potem „Zosią - Kalosią”, wreszcie „Olą” – podpisywała się nawet tak na zeszytach szkolnych.

Przez cały czas próbowaliśmy rozwijać aktywność Ani w różnych kierunkach. Babcia nauczyła ją robić na drutach – potrafiła wrabiać przeróżne wzory, korzystając z 12 kolorów nici. Ja bawiłam się z nią w wolnych chwilach origami – tworzyliśmy figury przestrzenne składając je z kawałków papieru, bez użycia kleju. Ania wykazywała się dużą wyobraźnią przestrzenną, lubiła składać bryły i robiła to z łatwością i precyzją. Ania z Małgosią zaczęły pracować nad przedstawieniami kukielkowymi. Robiły papierowe lalki i przyklejały je do patyków, same pisały sobie dialogi, urządzały scenę, dekorację i widownię, oraz bilety. Była to bardzo rozwijająca zabawa. Oboje z mężem byliśmy widzami i cieszyliśmy się z tej inicjatywy. Obie dziewczynki wyjątkowo dobrze współpracowały ze sobą podczas tej zabawy, dużo przy tym rozmawiały.

Ania skończyła 10 lat, jej mowa ciągle ulegała poprawie, oprócz monologów na stały temat, coraz częściej udawało się prowadzić z nią krótki dialog. Od czasu ćwiczeń z klepsydrą Ania znacznie poprawiła czytanie. Potrafiła przeczytać „Dzieci z Bullerbyn”, „Witaj Karolciu” i inne dość grube książeczki dla dzieci. Każdą książeczkę zapisywałyśmy w zeszycie lektur, aby tym także zmobilizować ją do czytania. Próbowaliśmy teraz nauczyć ją więcej samodzielności. Zanosila bańkę na mleko do gospodyni, przynosiła różne rzeczy od babci, wysyłaliśmy ją także do sklepu, ale jeszcze nie bardzo sobie radziła, mimo że od „dzień dobry” do „do widzenia” (z podawaniem pieniędzy i czekaniem na resztę) przećwiczyliśmy wszystko w domu kilka razy. Od jakiegoś czasu Ania przestała mówić ciągle na ten sam temat. Umiała już szybko i sensownie odpowiadać na pytania, nawet obcym osobom. W domu próbowaliśmy wdrażać ją do obowiązków. Sama ścieliła łóżko i robiła sobie kanapki do szkoły, odkurzała pokój (mimo, że nie lubi dźwięku odkurzacza), sama także o odpowiedniej porze zażywała witaminy (bez przypominania i bez pomyłek). Przeprowadzała 3-letnią Ewę od babci do domu, trzymając ją za rękę, Umiała sobie wyprasować chusteczkę do nosa. Stała się trochę bardziej obowiązkowa, sama przypominała o pewnych sprawach jej dotyczących, np. „miałam wziąć zeszyt i długopis do zapisywania planu lekcji”.



Następnym trudnym etapem w życiu Ani było przejście do IV-tej klasy. Nowe przedmioty, nowi nauczyciele (wielu nauczycieli), nowy wychowawca. Dzięki pomocy

poradni psychologiczno-pedagogicznej, Ania otrzymała dwie godziny tygodniowo dodatkowych zajęć rewalidacyjnych. Aby uporządkować jej dzień, rozpisałam na planszy różne obowiązki i Ania wraz z siostrami sama zaznaczała, które już wykonała w danym dniu. Czasem, gdy leżąc w łóżku przypominała sobie, że czegoś nie zrobiła – wstawała, aby to zrobić. Rozpoczęliśmy naukę pływania na basenie. Na początku była bardzo sztywna i bała się wody, ale systematycznie ćwiczyliśmy i powoli przełamywała strach. Od września Ania z Małgosią rozpoczęły naukę gry na organach elektronowych. Ania grała tylko 10 minut, resztę lekcji Małgosia. Ania miała bardzo słabe poczucie rytmu, bardzo trudno było słuchać utworów w jej wykonaniu. Nie miała natomiast kłopotów z odczytywaniem nut albo z zapamiętywaniem granego utworu. Uczęszczała na lekcje 6 lat.

Mimo ciągłego rozwoju nie ubywało dziwactw. Jedne znikwały inne się pojawiały. W tym czasie, gdy weszła jednymi drzwiami do autobusu, nie chciała wyjść innymi, nie lubiła jazdy tyłem, jeżeli kręciła się w jedną stronę przy zabawie, musiała tyle samo razy się „odkręcać”. Staralam się przełamywać te dziwactwa. Przed wejściem do autobusu uprzedzałam, że może być miejsce tyłem i nalegałam, by siadała tyłem. Uprzedzona dość spokojnie to znosiła, natomiast nieuprzedzona, siadała skośnie, wyszukiwała wzrokiem inne miejsce i przepychała się do niego, nie zważając na starsze osoby stojące obok. Gdy miałyśmy dwa miejsca, jedno przodem, drugie tyłem, negocjowałam z nią, że w połowie drogi się zamieniamy. Kiedy kilka razy przełamywałam jej opór, nie przywiązywała już do tego tak wielkiej wagi. Gdyby pozwolić jej utrwalić te dziwne zachowania – wszelka zmiana wprawiała ją w panikę.

Mowa Ani ciągle się poprawiała. Nadal trzeba było prowokować ją do rozmowy, wyciągać z niej różne informacje. Jednak zdarzało się, że Ania sama podchodziła do kogoś i zagadywała. Coraz częściej uśmiechała się do nauczycieli na przerwach w szkole i informowała ich o swoich sprawach. Zaczęła też dopytywać mnie o różne sprawy: „Wychodzisz? Gdzie idziesz? Co kupisz? Kupisz coś dobrego? Gdzie tata? Kiedy wróci?”. Coraz częściej domagała się uzasadnienia i chciała robić wszystko z przesadną dokładnością. Klepsydra, która pomogła jej w czytaniu, teraz pomagała jej „jeść zupę”, brała ją nawet do łazienki, aby pomóc sobie myć zęby. Pytała ile czasu ma czytać, uczyć się, chciała wszystko robić dokładnie.

Zaczęła używać coraz bardziej wyszukanych sformułowań: *„Przepraszam, bardzo mi przykro, ale ja muszę przejść. Proszę nie patrzeć na mnie. O! zapomnieliśmy iść dzisiaj do kościoła, a dzisiaj w kalendarzu jest Marii”*.



Po świętach wielkanocnych byliśmy umówieni w Warszawie z prof. T. Gałkowskim na krótką konsultację z Anią. Podczas wizyty wydarzyło się coś, co bardzo Ani pomogło w dalszym rozwoju mowy. Profesor postawił przed nią maszynę do pisania. Nie byłam pewna, jak Ania zareaguje. Ona jednak od razu się

zainteresowała maszyną i zaczęła powoli pisać. Po powrocie pożyczaliśmy maszynę i odtąd Ania pisała codziennie. Początkowo bawiła się, próbując różnych znaków, później postanowiła pisać własną książkę z rysunkami. Były tam krótkie historyjki z bajek, filmów, z przeżytych przez Anię sytuacji, pojawiły się także dialogi. Wszystkie historie kończyły się szczęśliwie i było wiele kolorowych rysunków.

Ania stawała się coraz bardziej niezależna, miała teraz własne tajemnice, nie lubiła, gdy się ją kontrolowało lub zbyt uporczywie wypytywało, lubiła sama wychodzić do szkoły lub do kościoła, robiła samodzielnie drobne zakupy w sklepie. Stale używała słów: *dziękuję, przepraszam, przykro mi ale...*, pytała o pozwolenie, sama przygotowywała się do wycieczki, pakowała plecak. Niestety nadal robiła różne grymasy, skakała po korytarzu, zabierała innym różne przedmioty, chodziła na palcach. Najbardziej martwiło mnie to, że w szkole była bardzo samotna. Dzieci dobrze ją traktowały, ale nie była dla nich partnerem w zabawie, a tym bardziej w rozmowie. To osamotnienie odreagowywała w swojej książce i w rysunkach, była tam zawsze w grupie dzieci, odgrywała ważną rolę we wszystkich opisanych wydarzeniach. Pierwsza Ani książka liczyła 320 stron i była pisana przez 1 rok. Po tym pracowitym roku dało się odczuć wyraźny postęp w rozwoju mowy Ani. Stała się dzieckiem bardzo rozgadany. Dużo opowiadała, zadawała wiele pytań, zagadywała obce osoby. Gdy ktoś do nas przychodził, siadała obok, a mnie nie dopuszczała do głosu mówiąc: *„przeszkadzasz mi w rozmowie”*. Jej mowa stała się bardziej naturalna, umiała już odpowiednio akcentować zdania, wykrzyknąć, zapytać z właściwą intonacją – przestała mówić jak „robot”. Jednocześnie coraz trudniej się podporządkowywała naszym poleceniom, nie chciała się uczyć, uważając to za stratę czasu. Trzeba było wiele rozmów, perswazji, aby zachęcić ją do nauki i pewnych obowiązków w domu. Ale nasze rozmowy były już takie o jakich marzyłam od lat. Był to prawdziwy dialog, chociaż trudny – bo co mogłam odpowiedzieć na zarzut: *„tracisz mi czas!”*. Przygotowana na wysiłek potrafiła się bardzo zmobilizować, ale wszelkie zmiany planów przyjmowała otwartym buntem i krzykiem. Teraz nie wystarczał mój autorytet, trzeba było odpowiednio przekonujących powodów, aby skłonić ją do współpracy. Było jednak coś, co do dzisiaj ją motywuje, chciała być jak inne dzieci, chciała dorastać i w przyszłości zarabiać pieniądze. Próbowałam przedstawiać jej problem tak, aby sama mogła wybrać: *„Chcesz postąpić tak jak małe dziecko i zjeść wszystkie czekoladki czy jak dorosły i poczęstować także siostry?”*. Jeśli udawało mi się odpowiednio dobrać argumenty, Ania zwykle wybierała dorosłą wersję postępowania. Jeśli wybrała inaczej, przystawaliśmy na to, ale Ania wiedziała, że jesteśmy innego zdania.

Czwarta klasa była najtrudniejsza, byłam pełna podziwu dla nauczycieli, którzy bardzo starali się postępować z Anią prawidłowo, korzystając z moich wskazówek i książek, które mogłam udostępnić. Ale życie niosło codziennie nowe sytuacje i musieli radzić sobie sami. Zachowanie Ani było ciągle nie do przewidzenia, jeżeli

nie znało się jej zbyt dobrze. Zajęcia rewalidacyjne pozwoliły niektórym nauczycielom poznać Anię, a nawet się z nią zaprzyjaźnić. Wtedy sytuacja na lekcjach stawała się łatwiejsza. Ania zawsze była pod opieką klasy, zawsze mogła pożyczyć zeszyt, zawsze znalazł się ktoś, aby przypomnieć o czymś, pokierować nią, pożyczyć coś, wziąć ją do grupy, posłuchać jej wywodów. Nie była dla nich partnerem, często jej chyba nie rozumieli, ale zawsze stali po jej stronie i jej bronili. Śmiali się z nią, nigdy nie wyśmiewali. Ania czuła się w klasie dobrze, choć nie miała bliskiej koleżanki – nie umiała sprostać takim wymaganiom. Jednak klasa była dla niej azylem, gdzie czuła się akceptowana bezwarunkowo i bezpieczna. Gdy Ania była z klasą, byłam o nią spokojna.



Kiedy Ania skończyła 13 lat, za namową innych rodziców wybraliśmy się całą rodziną na turnus rehabilitacyjny, organizowany przez Krakowski Oddział Krajowego Towarzystwa Autyzmu. Obóz był nad morzem. Był to dla mnie pierwszy od lat prawdziwy wypoczynek. Ania była zachwycona, mogła rozmawiać z tyloma życzliwymi ludźmi, poruszała się samodzielnie po dość dużym ośrodku, bez zmęczenia wędrowała z nami po plaży, brała udział w zabawach organizowanych dla dzieci. Czuła się zupełnie swobodna, a jednocześnie było tyle nowości. Nikt jej nie wyśmiewał, ani nie ignorował, jeszcze nie widziałam jej tak zadowolonej. My rodzice także skorzystaliśmy wiele. Postanowiliśmy korzystać z turnusów rehabilitacyjnych co roku.

Ważnym momentem w życiu Ani było rozpoczęcie zajęć tanecznych. Miała wtedy 15 lat. Bardzo niechętnie na to przystała i szybko się zniechęcała. Na początku naprawdę sobie nie radziła. Ale myślę, że lata grania na organach nie poszły na marne. Powoli zaczęła sobie radzić. Ponieważ była w grupie dzieci młodszych zaczęła im dorównywać. Wielkim wydarzeniem był galowy występ w czerwcu, który oczywiście nagrałam na video. Był to przełomowy moment. Ania obejrzała siebie na kasecie i pierwszy raz się rozplakała. Naprawdę płakała z radości, a ja zaniemówiłam, gdyż czekałam na ten moment tyle lat. Później długo musiałam jej tłumaczyć, co się z nią dzieje. Było to dla niej nowe doświadczenie. Od tego dnia płakała zbyt często, ale nie mieliśmy jej tego za złe. Nie umiała sobie przecież radzić z nowymi emocjami. Nadal nie panuje nad swoim płaczem, który zaskakuje ją często, nawet w miejscu publicznym.



Po ukończeniu szkoły podstawowej Ania podjęła próbę nauki w szkole średniej. Była to jedyna szkoła, w której przyjęto za możliwy taki pomysł. Ania intelektualnie nie dorównywała uczniom tej szkoły. Mnie najbardziej zależało na rozwoju społecznym Ani, na codziennym pobycie wśród rówieśników i na jej samodzielności.

Spotkała się z wielkim zrozumieniem nauczycieli i większości uczniów. Wiele czasu zajmuje nam nauka w domu. Mimo, że Ania notuje wszystko na lekcjach, nie zawsze wnosi z nich potrzebne wiadomości. Często wysiłek siedmiogodzinnego pobytu w szkole, robienie notatek, ciągła obecność uczniów wokół, gwar rozmów, dzwonki, których nie lubi, dyscyplina na lekcji są dużymi wymaganiami dla Ani. Nie koncentruje się na temacie przez długi czas. W domu wybieramy wiadomości najważniejsze i staramy się ułatwić sobie pracę maksymalnie. Nigdy nie uczymy się z dnia na dzień. Dany materiał przygotowujemy na kartkach i co dzień powtarzamy przez krótki czas, aby nie stało się uciążliwe. Gdzie można stosujemy karty (języki obce). Bardzo to ułatwia życie przede wszystkim mnie. Sprawdzanie wiadomości polega na ułożeniu przede mnie pytań lub wylosowaniu kartek z pytaniami, na które Ania pisemnie odpowiada, a później sama je sprawdza i informuje mnie o ilości błędów. Źle zrobione ćwiczenie sama powtarza jeszcze raz. Rozwiązania ćwiczeń z matematyki i fizyki muszę sprawdzać sama. Czasem Ania odpowiada ustnie, ale dzięki zapisom na kartkach, może ją przepytwać każda osoba w domu, która ma czas. Po dłuższym stosowaniu sprawdzianów pisemnych w domu, Ania zaczęła ze zrozumieniem odczytywać proste polecenia pisemne. Dawniej wobec takiego polecenia była zupełnie bezradna i napisanie sprawdzianu w szkole wymagało szczegółowej instrukcji słownej. Ten sposób pracy odciąża mnie czasowo (jednak wymaga przygotowania kartek), ale także (a może przede wszystkim) daje Ani poczucie dużej samodzielności i utwierdza w przekonaniu, że wiele potrafi zrobić sama. Jeżeli uczymy się opowiadać zapisujemy opowiadanie i odczytujemy je kilka razy, potem Ania mówi swoimi słowami. Mogę już napisać „swoimi słowami”, bo od jakiegoś czasu przestała się sztywno trzymać napisanego tekstu. Dawniej uczyła się go na pamięć. Teraz dzięki takim ćwiczeniom przyswoiła sobie wiele zwrotów, których coraz swobodniej używa w mowie. Jeszcze rok temu denerwowała się, gdy opuściła jedno słowo, dziś sama pyta czy może mówić swoimi słowami. W mowie czuje się coraz pewniej i nie potrzebuje tak kurczowo trzymać się wzoru. Ania ma również 6 godzin rewalidacyjnych z nauczycielami. Coraz częściej radzi sobie bez mojej kontroli. Ale nadal nie jest samodzielną i nie dorównuje innym w nauce.

Oprócz nauki ma również obowiązki w domu, z których dość skrupulatnie ją rozliczam. Staramy się, aby nie obciążać jej nadmiernie, ale różnorodność zajęć i umiejętności poprawiają jej samoocenę i samopoczucie. Jej tydzień jest dość urozmaicony. Bierze udział w kursie tańca ze zdrowymi dziećmi, dwa dni w tygodniu uczestniczy w zajęciach w ośrodku rehabilitacyjno-terapeutycznym dla dzieci niepełnosprawnych. Kiedy ma jeszcze wolną chwilę, pisze na komputerze swoją, dziesiątą już książkę (pisze 10 palcami).



Staramy się nie opuszczać żadnych imprez, zabaw, które bardzo pomagają Ani przystosować się do życia w społeczeństwie. Wychodzimy do kina, na basen. Musimy wiele z nią rozmawiać, wyjaśniać i tłumaczyć, czasem także przykre zdarzenia, w których uczestniczy. Ania nadal ma dużo problemów w rozumieniu zachowań innych ludzi, nie zawsze chce przestrzegać norm przyjętych w naszym społeczeństwie. Ale możemy z nią rozmawiać i coraz lepiej ją rozumiemy, a ona bardzo stara się podołać wymogom „dorosłego życia”, mimo że jej rozumienie świata jest jeszcze bardzo dziecinne.